

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY
NUMER 2/2018

Landsberg ON



SŁOWO WSTĘPNE POŁAWIACZA PEREŁ

Witajcie, Czytelnicy! Znów się spotykamy. Cieszyć się? Bo ja bardzo. Sukces premierowego numeru „LandsbergONu”, ciepłe przyjęcie wśród gorzowian, pozytywne recenzje na portalach zajmujących się fantastyką, artykuły w lokalnych mediach – to wszystko jest paliwem, które napędza naszą redakcję, sprawia, że po raz kolejny chcemy zanurzyć się w fantastycznym oceanie, z którego wyłowimy dla Was perły krótkiej formy. Co tym razem znalazło się w naszej sieci?

Zaraz po moim redakcyjnym wstępniaku możecie przeczytać, co gorzowianie sądzą o książce fantasty „Tchnienie”, napisanej przez gorzowiankę. Nie zapominajmy bowiem, że „LandsbergON” jest pismem tworzonym przez gorzowian, by nasz Gorzów trochę wypromować. „Tchnienie” zaś jest do kupienia, chociażby w księgarni internetowej Novae Res, a że sam jestem po lekturze, to polecam. Motywem przewodnim drugiego numeru naszego pisma jest groteska i absurd. Spójrzcie na okładkę, którą zdobi fotografia (analogowa, Kochani, bez cyfrowych manipulacji) gorzowianina z krwi i kości – Piotra Merdy. Rybki, które fruwały sobie nad traktem królewskim w Gorzowie, to szczyt groteski, absurdu i nonsensu. A przy tym są one szalenie oniryczne i fantastyczne. Jakub Łukasik w „Opowieści o gorzowskiej Wandzie” połączył stare legendy ze współczesnością i stworzył absurdalnie komiczne opowiadanie, w którym elementy magii przeplatają się z realiami naszego miasta. Łucja Fice opisuje swoje przemyślenia na temat technologii pozaziemskich, po tym co sama widziała, dla tych, którzy, jak mawiano w kultowym serialu, „chcą wierzyć”. Swoją opowieść o „Pralni grzechów” nasz anonimowy autor (zdradzę jedynie, że jest on gorzowskim dziennikarzem) ilustruje zdjęciem prawdziwej pralni, która istniała przy ul. Owczej. Dla tych, którzy „chcą widzieć”, otaczająca rzeczywistość może być niebywale fantastyczna. Poza tym artykuł o szachowym starciu pomiędzy ludźmi a sztuczną inteligencją, groteskowe opowiadanie o „Pociągu grozy” (oj, zdziwicie się) i trochę kosmicznego s-f od Tomka Grabowskiego. Numer ilustrują gorzowianie – Krzysztof Ostrzeniewski i Mikołaj Leszczyk (nieodżałowana strata, bo wyjechał niedawno za granicę, oby nie na zawsze). Mam nadzieję, że ucieszy Was blask pereł, które wyłowiliśmy dla Was z ogromnego oceanu przesłanych nam prac, tak jak cieszy on nas samych. Do rychłego poczytania!

Mariusz Sobkowiak – Redaktor naczelny

„TCHNIENIE” ANNY KOWALCZEWSKIEJ PIÓREM CZYTELNIKÓW

„Była wściekła. Niemal sześćdziesiąt minut patrzyła, jak jej koleżanki z drużyny partolą robotę. W końcu meczu chyba wyrwała sobie część włosów z głowy, gdy bramkarka wpuściła kolejnego gola” – nie jest to fragment wycięty z relacji zażartego meczu piłki nożnej kobiet, lecz cytat z książki Anny Kowalczewskiej zatytułowanej „Tchnienie”. Pewnie niejedna osoba, czytając tę recenzję, spyta: – I co to ma do rzeczy? Otóż dla maniaka sportowego (tak, ja do takich się zaliczam) ma to ogromne znaczenie, gdyż w książce może on odnaleźć część siebie, a to niewątpliwie jeszcze bardziej zachęca do czytania. W tym miejscu pragnę również stonować wszystkich, którzy nie przepadają za sportowymi emocjami – „Tchnienie” to nie biografia Messiego, ale pełnokrwista fantasy.

Nie tylko aspekty sportowe, co prawda bardzo epizodyczne, ale jednak widoczne, zdopinguowały mnie do tego, aby sięgnąć po tę pozycję. Drugim ważnym powodem była fabuła, która okazała się na tyle intrygująca, że przedstawiony w książce układ zdarzeń naprawdę wciągnął mnie do ostatniej strony. Autorka konsekwentnie przedstawia losy bohaterów. Co mam na myśli, mówiąc „konsekwentnie”? Otóż to, że pojawiające się kolejno wątki nie powodują powstania chaosu; wszystko ma swój porządek, co jest wielkim atutem. Historie bohaterów przeplatają się na tyle płynnie, że nie się w nich pogubić. Bohaterowie – a w zasadzie bohaterki – mające bardzo odmienne charaktery, łączy jedno – muszą sprostać wyzwaniu i „przynieść śmierć wrogiej sile”. W książce nie są one bezimiennie. Izys, Glann (nazywana również Gabrysią lub skróto-

wo Gab), Hanna i Basia reprezentują żywioły i należą do grona Wybranych. Ich przygody, a szczególnie pierwszej trójki, są chwilami na tyle zabawne, że trudno powstrzymać śmiech podczas czytania. Nie ma się jednak czemu dziwić – dziewczyny zostają nagle wyrwane z czasów współczesnych do krainy Ardi, której bliżej do epoki średniowiecza: jest to bowiem miejsce bez elektroniki, bieżącej wody i ulubionych produktów żywnościowych. W bohaterkach „Tchnienia” ta raptowna zmiana nie budzi raczej zachwytu.

W mojej recenzji nie mogę pominąć postaci Jakuba – najważniejszego przewodnika Izys, Glann i Hanny (a zarazem dawnej miłości jednej z nich), który za wszelką cenę pragnie odnaleźć swoją siostrę Basię. Zainteresowanych ich losami odsyłam do książki, tam wszelkie tajemnice zostaną rozwiązane.

„Tchnienie” Anny Kowalczewskiej to również doskonały przykład na to, że nawet krótkimi opisami przyrody można namalować piękny krajobraz w głowie czytelnika. Sympatycy fantastyki zostają zasypani magicznymi postaciami i czarodziejskimi wydarzeniami, znajdzie się tu także coś dla osób pragnących wyciągnąć z lektury ważne prawdy życiowe. Wplecione dialogi, proste i łatwy w odbiorze język tylko dopełniają całości. Sięgając po książkę, pamiętajcie, drodzy czytelnicy: „to nie bajka, że jak machnie się mieczem, to zbóje z krzykiem uciekną”.

(Ilona Tużnik)

Autorka stara się wywołać w czytelniku wrażenie, że stworzone przez nią postacie żyją nie tylko na papierze. Psychologicznie może bohaterowie nie są skomplikowani, ale za to wtedy, gdy powinni doznać szoku, tak się dzieje. Ich reakcje nie są sztuczne czy przesadzone. Takie próby zachowania realizmu dodają całości smaku, a jako kobiecie podoba mi się też to, że Kowalczewska odpowiada na pytanie: „a co się stanie, jeśli ktośś dostanie okresu?”. Problem nie za często pojawiający się w powieściach o bohaterach, prawda? „Tchnienie” to debiut, z którego ucieszy się nastolatek. Myślę, że właśnie ta grupa wiekowa najbardziej zyska na lekturze powieści, gdyż odkrywa ona dopiero świat fantasy, a omawiana książka jest do tego świata lekkim wprowadzeniem.

(Aleksandra Jursza)

OPOWIEŚĆ O GORZOWSKIEJ WANDZIE

– Cuchnie – powiedział pierwszy, gdy przeszli z jednej komnaty do drugiej.

– A co? Spodziewałeś się zapachu kwiatów? Przecież to kanały – odpowiedział mu drugi i nie zwracając uwagi na głęboką kałużę wypełnioną lepką mazią, przeszedł przez nią jakby szedł po plaży – Gówno zawsze śmierdzi. Tak już natura postanowiła i koniec.

Zatrzymał się przy stercie kamieni i wytarł o nie nogawkę spodni tuż powyżej buta. Przeklął pod nosem samego siebie za to, że wychodząc z domu nie zabrał stuptutów. Teraz by się przydały.

– Idziemy. Przed nami jeszcze kawał drogi. Nie możemy się zatrzymywać na dłużej. – popędził pierwszego i ruszył przed siebie, oświetlając sobie drogę mocną latarką akumulatorową.

– Zawsze jak coś się zesra to wołają nas – jęknął pierwszy, poprawił ekwipunek na pasie i ruszył za towarzyszem. – Gdyby choć jeden raz wzięli kogoś innego do tej parszywej roboty... jeden, kurwa, jedyny raz...

– Ci, którzy przybyli tu przed nami nigdy nie wrócili do domów – przypomniał mu drugi. Jego głos i wypowiedziane słowa zabrzmiały tak upiornie, że pierwszy nie powiedział już nic więcej. Szli korytarzem z półkolistym sklepieniem. Korytarz był na tyle wysoki, że bez problemu się w nim mieścili. Obaj mierzyli po 190 cm wzrostu. Obaj byli dobrze zbudowani, chociaż drugiemu zaczął rok temu rosnać brzuszek.

„Uroki przekroczenia magicznej czterdziestki” – pocieszał się drugi za każdym razem, gdy widział swoje odbicie w lustrze. Tak naprawdę nie czuł się staro. Nie miał zadyszki wchodząc po schodach, biegał z synem za piłką, dobrze się odżywał. Ten (trochę większy) brzuch dodawał mu powagi. Zwłaszcza, że dwa lata temu przestał się golić i zapuścił długą, przetykaną rudymi nićmi brodę. „Chudzielec z brodą wygląda jak penis nastolatka. Ty wyglądasz jak prawdziwy kutas” – powiedział mu kiedyś ojciec. Nie obraził się za te słowa. Przeciwnie. Dodały mu mocy. Poczul, że ma ojcowskie błogosławieństwo do czynienia tego, co czyni.

Czterdziestojednoletni pogromca „tego czegoś”. To coś było wszystkim, czego bali się ci, którzy go wynajęli. Przeganiał już olbrzymie afrykańskie nietoperze z piwnic Urzędu Miasta po tym, jak aktywiści z Greenpeace postanowili

uwolnić je z klatek obwoźnego zoo. Pozbawił trosk mieszkańców największego kompleksu mieszkalnego w mieście, gdy ich pranie na strychu i słoiki w piwnicy zaczęły znikać za sprawą „dziwnej istoty”. Ową dziwną istotą okazał się emerytowany podpułkownik wojsk chemicznych, któremu w wyniku wypadku na poligonie zniszczyło twarz a MON i ZUS odmówiły wypłaty renty, więc (z braku środków do życia) zadekował się na blokowisku i włamywał na strychy i do piwnic kradnąc to, co pozwalało mu przeżyć. Swoją drogą wytrwały był – przez pół roku żywił się marynowanymi grzybkami, kiszonymi ogórkami i kapustą, rybą w occie oraz buraczkami na zimno. Nic dziwnego, że wyciągnięty z zakamuflowanego węzła ciepłowniczego pan podpułkownik wyglądał jak płat pergaminu skrzyżowany z folią spożywczą. Był błądy i prawie przeźroczysty.

Innym razem dyrekcja jednego z centrów handlowych zwróciła się do niego o pomoc w rozwikłaniu zagadki ducha nawiedzającego owo centrum. Ochrona i pracownicy butików mówili o białej istocie przemierzającej galerijne korytarze i znikającej za drzwiami wieży widokowej, wokół której zbudowano centrum. Miejskie legendy wspominały o rzeźniku pracującym w ubojni, która kiedyś stała w miejscu obecnej galerii handlowej. Rzeźnik ten, w wyniku zaniedbań ze strony dyrekcji zakładu, zginął stratowany przez stado bydła, które zerwało się z łańcuchów i wyostało poza teren ubojni. Ostatnimi słowami umierającego rzeźnika miały być: „kamień na kamieniu nie zostanie i żaden kamień nie powstanie na tej przeklętej przeze mnie ziemi”. Dyrekcja chciała zrobić z ducha atrakcję przyciągającą do centrum więcej klientów. Za namową dyrektora jeden z ochroniarzy z nocnej zmiany, wyposażony w komplet zapasowych kluczy, przebiegał się wieczorem w prześcieradło i przechadzał galeryjnymi alejkami. Za dodatkowe ekstra złotówki pogromca przemilczał ten fakt, a duch nagle przestał nawiedzać galerię. „Pecunia non olet” przypominał sobie za każdym razem, gdy podejmował kolejne „zlecenie”.

– Jak zwykle – mruknął pierwszy. Czuł żal do samego siebie i do życia. Ukończył z wyróżnieniem studia na kierunku historii i kulturoznawstwa. Miał ambicje i marzenia, że kiedyś odkryje coś, co

pozwole mu stać się sławnym. Śnił o nieprzebranych skarbach dawnych władców i o skradzionych przez hitlerowców dobrach schowanych gdzieś pod ziemią. Chciał je odkryć i pokazać światu, że to właśnie on, syn krawcowej i woźnego z teatru, poprzez swój upór, wytrwałość i konsekwencję w działaniu, potrafił dokonać czegoś, czego nie dokonali przed nim inni. Całymi nocami ślezczał nad archiwalnymi zapiskami nadwornych kronikarzy i dokumentalistów, opisujących zaginione na tym terenie bogactwa. Nie chciał pieniędzy. Wystarczyła mu sława. „Per aspera ad astra” powtarzał jak mantrę tę łacińską sentencję za każdym razem, gdy okazywało się, że w zawalonej piwnicy znajduje się koczowisko bezdomnych, a zalana komnata to tylko zalana komnata.

Cztery lata temu przyłączył się do jednoosobowej ekspedycji, mającej zbadać podziemia Urzędu Miasta w Gorzowie Wielkopolskim. Jego wyobraźnię rozpałały wyobrażenia o tajnych archiwach NKWD i UB prowadzących do tajemnych budowli zlokalizowanych pod miastem. Za dzieciaka nasłuchiwał się o korytarzach łączących podgorzowskie Chwałęcice z Zakanalem. Słyszał o przejściach pod katedrą, które wyjścia mają w pobliskim podwórzu i na Wieprzycach. Oglądał mapy i plany techniczne sugerujące, że pod Gorzowem rozciągają się trzy poziomy korytarze i hal budowanych przez Niemców w nieznanym celu. Zbadał dokładnie piwnice i ukrycia przeciwlotnicze na ul. Matejki. Spędził niezliczoną liczbę godzin, wizualizując sobie nieistniejące już ponemieckie obiekty przy ul. Składowej, Garbary i Pionierów. Nie pamiętał już, ile razy uciekał policji i ochronie z budynków i obiektów, które chociaż minimalnie wskazywały na jakąś nitkę tajemniczości. Miał też na koncie kilka sukcesów. Po drobiazgowej analizie dzienników i dokumentów odnalazł w piwnicach teatru im. J. Osterwy zabytkowe kostiumy i rekwizyty teatralne, a w parku otaczającym muzeum im. Dekerta odkrył zakopane „zbiory dawnego Landsberga”, uznane za zaginione po zakończeniu II wojny światowej.

Jednak to, co robił dzisiaj przyprawiało go o gęsią skórę. „Niech tam sobie tarmosi bezdomnych, nietoperze czy inne szkaradztwo. Ja dzisiaj odnajdę zaginiony skarb Przemysła I-go”. Odkąd przyłączył się do pierwszej ekspedycji, zrozumiał, że brodzenie w ekskrementach i smrodzie ludzkich wydzielin daje mu niepowtarzalną szansę na oficjalne, nie zakłócone nagłym nalotem policji czy innych organów porządkowych, dotarcie do miejsc, do których normalnie nie mogłby się dostać.

– To moja szansa i zamierzam ją wykorzystać. Taaa... Wydymam cię, szanso, a ty mi się nie postawisz. Będiesz uległa jak...

– Co? – przerwał jego marzenia drugi. – Poczekaj. Chyba coś słyszę. Pierwszy nastawił uszy. Nie słyszał nic, oprócz miarowego szumu wody płynącej między ich nogami. Nagle z naprzeciwka usłyszał przeraźliwy ryk, od którego zatrzęsły się betonowe ściany i sklepienie przejścia. Na końcu tunelu, którym szli, w migoczącym świetle ognia, pośród stosów czaszek, bielejących kości i gryzącego, czarnego dymu ujrzeni ją – Wandę. Siedziała przed nimi na górze czaszek, wokół której owinięty był jej ogon. Od pasa w dół jej ciało pokrywały podobne do rybich łuski. Górna część ciała należała zaś do kobiety.

Długie blond włosy opadały jej na ramiona. Nagie piersi pokryte były sinymi żyłami, które nabrzmiewały z każdym jej oddechem.

– Co to, do jasnej cholery, jest? – wymamrotał pierwszy drżącymi wargami – To nie jakiś bezdomny. Widziałeś jej... ogon? Co to, kurna, jest?

– To Wanda – krótko skwitował drugi.

– Jaka znowu „WANDA”? Co tu się wyprawia? Olek, powiedz coś!

Na dźwięk swojego imienia Olgerd Plaski wyprostował się i zwrócił do kolegi:

– Wanda to polska księżniczka, która utopiła się w Wiśle, bo nie chciała Niemca za męża. Studiowałeś historię i kulturoznawstwo. Powinieneś znać tę legendę.

– Właśnie! Legendę! – odpowiedział z wyrzutem pierwszy – Legendy nie siedzą na górze z czaszek i nie ryczą jak... jak jakiś... smok?

– W każdej legendzie jest ziarno prawdy. Powiedz mi, Igorze, znasz geografię naszego kraju?

– Znam. Ale co to ma wspólnego z...

– Jakie mamy główne rzeki? – nie pozwolił mu dokończyć Plaski.

– Nooo... Jest Wisła, Bug, Odra, Noteć, Warta...

– odpowiedział Igor.

– Czy te rzeki jakoś się ze sobą łączą? Chodzi mi o rzeki znajdujące się w centralnej i zachodniej Polsce.

– Tak. Kanał Bydgoski łączy Wisłę z Odrą przez Brdę, Noteć i Wartę. Ale co to ma wspólnego z... Olgerd Plaski kolejny raz nie pozwolił mu dokończyć pytania.

– Widzisz! Wszystko wskazuje na to, że legendarna Wanda, którą przed chwilą widzieliśmy, przedostała się z Wisły do Warty i zadekowała w podziemiach Gorzowa. Kilka razy spotkałem się z informacjami, mówiącymi o dziwnym stworzeniu wyłaniającym się z wody w okolicach Czerska, Bydgoszczy, Nakła czy Poznania. Widywano je także na przyległych rozlewiskach i bagnach powstałych po Wielkiej Powodzi Tysiąclecia. Wanda kieruje się na zachód i korzysta z sieci rzek i rozlewisk.

– Ale to niemożliwe! To tylko legenda! – zezłościł się Igor.

– Jak już mówiłem, w każdej legendzie jest ziarno prawdy. A ziarno tej legendy widzieliśmy przed chwilą. Musimy to zgłosić zleceniodawcy. Sami nie możemy podjąć żadnych kroków. Mieliśmy tylko wejść i zbadać. Decyzję o tym, co dalej podejmie zleceniodawca.

– Zatem chodźmy. Szybko! – pospieszył go Igor i obaj udali się w drogę powrotną. Nie uszli więcej niż dziesięć metrów, gdy usłyszeli łagodny, damski głos dochodzący z komnaty, w której siedziała Wanda:

– „Mój piękny chłopcze, podejdź tu do mnie. Pochwyć mnie mocno za dłonie moje. Ja cię obejmę i pocałuję i w toni rzeki miłość utonie.”

– Co ona robi? – spytał Igor.

– Kusi. Zasłoń uszy! – polecił Plaski i zasłonił dłońmi swoje.

Szli w ciszy, zakrywając dłońmi uszy i nie słyszając nic, oprócz własnych oddechów i dudnienia pulsującej w żyłach krwi. Ponieważ dłonie mieli zajęte i nie mogli trzymać latarka, szli w całkowitych ciemnościach, raz po raz boleśnie obcierając się o szorstkie, betonowe ściany kanału. Gdy po kilkunastu minutach dotarli do szerszej komnaty, stanowiącej wejście do kanałów, Plaski opuścił ręce. Igor zrobił to samo.

– Musisz wiedzieć o jednej, bardzo ważnej rzeczy – zwrócił się do kolegi Olgierd – Nigdy, ale to nigdy nie pozwól, żeby Wanda cokolwiek do ciebie powiedziała.

– Dlaczego? – zapytał trochę zdezorientowany Igor.

– Jak masz na nazwisko?

– Schmidt – odpowiedział coraz bardziej skołowany.

– Właśnie! Według legendy Wanda nie chciała Niemca za męża. Podobno tuż przed skokiem do Wisły rzuciła klątwę na wszystkich mężczyzn o niemieckim nazwisku. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że tam, gdzie pojawił się tajemniczy stwór, zawsze ginęli mężczyźni o niemieckim bądź niemiecko brzmiącym nazwisku. Nie mogę potwierdzić na sto procent, że klątwa jest prawdziwa, ale lepiej nie kusić losu, co nie?

– Olo, nie pierdol! – zezłościł się Igor – To jakieś średniowieczne bajdurzenie. Nie istnieją klątwy! To wymysł kościoła, żeby utrzymać w ryzach pospółstwo i powiększyć swoje wpływy.

– Powiedz to tym wszystkim Schmidtom, Schillerom, Fischerom, Theilom, Neumannom i innym facetom o niemieckich nazwiskach, których ciała wylawiano z rzek i innych akwenów w rejonach, gdzie pojawiała się Wanda. Na pewno podzielią twoje zdanie – odrzekł z przekorą w głosie Plaski – Pamiętasz głośną sprawę utonięcia dwójki policjantów, którzy odwozili służbowym samochodem jakąś szychę z mi-

nisterstwa? Pisali o tym przez kilka tygodni na łamach wszystkich gazet. Ich samochód wpadł do Wisły Koło Nowego Dworu Mazowieckiego.

– Coś tam było. Ale co to ma wspólnego?

– Policjant, który się wtedy utopił, miał na nazwisko Lambert. A kilka dni wcześniej zgłoszono, że w Wiśle, w okolicach Jabłonnej coś niszczy sieci rybaków i zatapia zacumowane przy brzegu łodzie.

– Ok. Ale dlaczego ty zasłoniłeś uszy? Przecież nie masz niemieckiego nazwiska. Plaski, to nie brzmi germańsko. Bardziej... amerykańsko.

– Dzięki – uśmiechnął się Plaski – Moja prababka wyszła za mąż za Niemca, Hrabiego von Plessen. Po wybuchu drugiej wojny światowej moja rodzina zmieniła nazwisko na mniej niemieckie, żeby nie narażać się na nieprzyjemności ze strony konspiracyjnego podziemia polskiego. Przyjęli nazwisko Plaski. Niemcom mówili, że to nazwisko pochodzenia germańskiego. Polakom, że zmienzone przez okupanta „Plaski”. Dzięki temu nie odczuwali ani represji ani zemsty.

– Sprytnie. Co z Wandą? – zmienił temat Igor.

– Tak jak mówiłem. Zleceniodawca podejmie decyzję. Ja bym ją zostawił w cholerę! Niech sobie idzie dalej. Ale z tego co wiem, gości już u nas kilka miesięcy, a wśród okolicznych mieszkańców zaginęło kilku mężczyzn o niemieckich nazwiskach. Słyszałeś o Hansie Meierze? Przedsiębiorca, właściciel fabryki części samochodowych, który od kilku tygodni nie pojawił się w swojej firmie? Uwielbiał garnitury w kolorze błękitu królewskiego. Zamawiał je u jednego krawca w Neopolu. Gdy ty podziwiałeś ogon Wandy, ja dostrzegłem kawałek materiału w ulubionym kolorze Meiera. Nie biorę tego za pewnik, ale też nie wykluczam, że jedna z czaszek, na których siedziała Wanda należy właśnie do niego. Musimy czym prędzej zgłosić to zleceniodawcy. Im szybciej podejmie decyzję, co robić, tym mniej ludzi zginie. Wanda jest mściwa i okrutna. Domyślam się, że bardziej niż moja żona.

Jacek Świącicki nerwowo pocierał palce, oczekując przy wejściu do kanałów na pojawienie się dwójki mężczyzn, którzy zniknęli w ciemnościach podziemnego Gorzowa kilka godzin temu. Popołudniowy lipcowy skwar odznaczył się ciemnymi plamami potu na jego kremowej, markowej koszuli. Marynarka uszyta z drogiej bawełny z domieszką jedwabiu powiewała na wietrze, zawieszona na kawałku gałęzi modrzewia, pod którym stał i starał się unikać palących promieni słonecznych. Spoczone stopy ślizgały się w skórzanych butach i raz po raz przestępował z nogi na nogę, żeby się nie przewrócić.

– Panie prezydencie! – zawołał do niego Grzegorz Deptuła, jego doradca i prawa ręka w interesach – Wychodzą!

– Nareszcie! – burknął pod nosem Świącicki – Ile można czekać?
Przywołał na twarz swój niezawodny, sztandarowy uśmiech, rozpostarł ramiona i zwrócił się w stronę Plaskiego i Schmidta, którzy pojawili się u wejścia do kanałów:
– Panowie! Już myślałem, że nas porzuciliście! Co tam słycać pod Gorzowem?
– To, co za chwilę pan usłyszysz, panie prezydencie – powiedział Plaski – zmieni pana radosny uśmiech w smutną podkówkę.
– Słucham? – nie zrozumiał Świącicki – Co pan chce powiedzieć?
– Panie prezydencie – Plaski zatrzymał się kilka centymetrów od Świącickiego. Nie pachniał najlepiej. „Ja zresztą też nie” – pomyślał Olgierd i kontynuował:
– Pod Gorzowem, w starych kanałach ulokowała się Wanda. Zmierza na zachód, a podczas swojej wędrówki zabija mężczyzn o niemieckim lub niemiecko brzmiącym nazwisku. Tyle. To najprawdźszy potwór, zabójcza kreatura, którą albo zostawimy w spokoju i przeczekamy do jej odejścia, albo zgładzimy. Wybór należy do pana.
– Wanda? Jaka Wanda? – Świącicki wyglądał, jakby ktoś uderzył go obuchem w tył głowy. Jego usta przypominały wargi karpia wyciągniętego z wody. Oczy powiększyły się, brwi uniosły i sprawiał ogólne wrażenie dziecka, które zdziwiło się, że balonik po dotknięciu ostrym przedmiotem pęka.
– Może ja wyjaśnię – Igor stanął obok Plaskiego i delikatnie odsunął kolegę. – Panie prezydencie. To, co spotkaliśmy w kanałach pod Gorzowem to nie były nietoperze, bezdomni czy inne... podmioty, z którymi mieliśmy dotychczas do czynienia. To coś, co stanowi łącznik między światem, który znamy a światem z podań i baśni. Zna pan legendę o Wandzie, co nie chciała Niemca? Według legendy Wanda utopiła się w Wiśle. To, co spotkaliśmy tam na dole, to, według mojego szacownego kolegi Plaskiego, legendarna Wanda, która wcale się nie utopiła tylko... jakoś... zmutowała? I kierując się na zachód porywa i zabija mężczyzn o niemieckich bądź niemiecko brzmiących nazwiskach. Olgierd... to znaczy pan Plaski twierdzi również, że zagrożeni mogą być ci, którzy w rodzinie mieli kogoś z podobnym nazwiskiem.
– Legendarna? – zdenerwował się Świącicki – Co wy mi tu pierdolicie, panie Schmid? Zatrudniłem was, żebyście zbadali te kanały, zlokalizowali źródło tego smrodu, który od kilku miesięcy unosi się w centrum, i ewentualnie powiedzieli, ilu bezdomnych siedzi w tych cholernych kanałach. Moi doradcy wskazali, że jakiś czas temu z centrum zniknęli wszyscy bezdomni. Bardzo mnie to ucieszyło. Zmartwiłem się natomiast tym, że po zniknięciu meneli za

studzienek w centrum zaczął unosić się niesamowity fetor. Wynająłem was, żebyście zbadali kanały, zlokalizowali źródło smrodu i je usunęli. A wy mi pieprzycie o jakiejś legendzie!
– Pieprzysz to pan, panie Świącicki – odezwał się Plaski, a jego słowa uciszyły gwar panujący dookoła. Wszystkie oczy obecnych w pobliżu policjantów, strażaków, techników, ratowników medycznych i pracowników urzędu miasta skierowały się na Plaskiego. – Wiem, co widziałem. Znam legendę o Wandzie. Posiadam informacje świadczące o tym, że Wanda jest realna. Tak realna jak gówno na moim bucie – wskazał na cholewkę swojego prawego buta. – I wiem jedno. Jeżeli zaraz czegoś nie zrobimy, to ta istota, która siedzi kilkadziesiąt metrów od nas, może zrobić w pańskim mieście zadymę, jak stado lisów w kurniku. Więc nie pierdol mi pan o bezdomnych i brzydkim zapachu ze studzienek. Zapewniam pana, że każda chwila zwłoki to... więcej zwłok.
– Pan się zapomina! – twarz Świącickiego przybrała kolor purpury – Jak pan śmie tak się do mnie odzywać! Ja... ja pana mogę zniszczyć!
– Słuchaj grubasie – Plaski zbliżył się do prezydenta tak, że czubki ich nosów prawie się stykały. – Nie obchodzi mnie, czy jesteś z takiej czy innej partii i jaki masz pomysł na następne wybory. Ale gwarantuję ci, że jeżeli zaraz nie podejmiesz konkretnych działań to przyszłych wyborów nie doczekasz. Twoja babka miała na nazwisko Möller, prawda?
– Skąd to wiesz? – w oczach prezydenta pojawiło się przerażenie.
– Mam swoje źródła – odparł Plaski – Tam, gdzie pojawia się Wanda, giną ludzie mający coś wspólnego z Niemcami. Jedziemy w jednym wagonie, panie Möller. Wydad pan odpowiednie dyrektywy albo ten wagon się wykołei. Świącicki zwiesił ramiona.
– Co mam robić? – zapytał.
– Wezwij pan wojsko, saperów i oddział specjalny z Międzyrzecza. Znam tych chłopaków i wiem, że sobie poradzą.
– Ale... ja... nie mam takich kompetencji! – wyjąkał Świącicki.
– To weź pan za dupę wojewodę i niech on ich wezwie – rzekł szorstko Plaski. – Zegar tyka, panie prezydencie. Jak w bombie, nad którą wisi Gorzów.
Plaski ledwo skończył zdanie, gdy powietrze przeszył ogłuszający świst. Dźwięk przypominał odgłos tępego wiertła do metalu, którym ktoś usilnie starał się wywiercić otwór w grubym kawałku blachy. Odgłos ten był tak intensywny, że większość obecnych przy wejściu do kanału ludzi padła na ziemię, zasłaniając dłońmi uszy, ich powieki zacisnęły się mocno a twarze wykrzywił grymas bólu.

– Co do... – zaczął Świącicki, ale nie dokończył. Z wnętrza kanału wyleciała z impetem olbrzymia ściana wszelkiej maści śmieci. Kawałki gruzu wymieszane z brudną ściekową wodą, rozmokłymi fragmentami papieru i strzępami materiału wystrzeliły z owalnego otworu i pomknęły w kierunku stojącego naprzeciwko zdziwionego prezydenta. W ostatniej chwili Plaski zdołał odciągnąć go z linii lotu tej mieszaniny ścieków i odchodów.

– Cholera! Blisko było – stwierdził Schmidt – Chwilę później i nie doczekałby pan kolejnych wyborów. Z kanału wyleciało wszystko, co się w nim znajdowało. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy odkryli, że tym wejściem nie dostaniemy się już do Wandy.

– Panie prezydencie – zwrócił się do Świącickiego jeden z techników, który właśnie zakończył sprawdzanie wejścia do kanałów – Wejście jest zawałone. Sądząc po ilości gruzu, który przed kilkoma chwilami wyleciał ze środka, zawałeniu uległ znaczny odcinek kanału. Świadczyć o tym może również fakt, że zapadła się ziemia nad kanałem. Na odcinku jakichś... trzydziestu-czterdziestu metrów.

– Matko kochana! – twarz Świącickiego pobladła, a usta zmieniły kolor z malinowego na sinobłady – Nie da się wejść?

– To absolutnie wykluczone. Odgruzowywanie wejścia zajmie nam tydzień. Poza tym nie wiemy, czy dalsza część kanału jest cała – odpowiedział technik.

– Panie prezydencie – Grzegorz Deptuła zakrył dłonią mikrofon telefonu komórkowego, przez który rozmawiał z kimś od kilku minut – Wojewoda...

Świącicki wyprostował się, przyglądził dłonią rozwichrzone włosy i wziął telefon od doradcy. – Świącicki – zgłosił się do słuchawki – Witam szanownego pana wojewodę. Jak zdrowie małżonki? Mam nadzieję, że już wraca do siebie? Oczywiście! Nie mamy żadnych problemów. Wszystko jest pod kontrolą. Gwarantuję, że wybory samorządowe odbędą się bez zakłóceń. Tak. Właśnie oglądamy z panem Deptułą tereny, na których ma stanąć miasteczko wyborcze. Nagle jego twarz stężeła, a oczy zaszkliły od zbierających się łez.

– Rozumiem. Ile osób? Tak. Wszyscy z Niemiec? Rozumiem. On też? Do usłyszenia – zakończył rozmowę i oddał telefon swojemu doradcy.

– Panie Olgierdzie – zwrócił się do Plaskiego – Załatwię panu tych żołnierzy. Ma pan trzy dni na zakończenie sprawy... tej... Wandy. Ma zniknąć. Może ją pan przegonić lub zabić. Nie obchodzi mnie, jak. Ma jej tu nie być do piątku. Odwrócił się plecami do Olgierda i Igora. Jego ciałem wstrząsnął szloch, a ramiona zdrząły z zimna, chociaż temperatura była isticie piekielna.

– Skąd ta nagła zmiana postawy, panie prezydencie? – zapytał kąśliwie Plaski – Czyżby wojewoda wydał jakieś polecenie w sprawie Wandy?

– Wojewoda nic o tym nie wie – cicho wyjąkał Świącicki – Powiedział mi tylko, że wybory samorządowe odbędą się za tydzień w Gorzowie. Jako niezależnych obserwatorów, Unia Europejska wysłała do nas delegację z Niemiec. Wszyscy z niemieckimi nazwiskami. Wśród nich będzie przewodniczący Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, Ernst Koch – odwrócił się do Plaskiego i spojrzał na niego przekrwionymi, zasnutymi mgłą strachu oczami.

Jakub Łukasik

– Absolwent Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa z siedzibą w Poznaniu. Żonaty, dwójka dzieci. Miłośnik historii, zwłaszcza okresu II wojny światowej i późniejszego, aż do czasów współczesnych. Laureat Grand Prix, jednego z Hydeparków organizowanych przez MCK Chemik jakoś w okolicach 2000 roku. Namaszczony przez Kazimierza Furmana. W Gorzowie pracuje w instytucji związanej z bezpieczeństwem publicznym.



JAK PRZEGRALIŚMY Z MASZYNAMI

W 1997 roku miała miejsce niezwykła bitwa: ludzie starli się z maszynami. Rasę ludzką reprezentował Garri Kasparow, ważący 80 kg Rosjanin, korzystający z około 100 mld neuronów. Po stronie maszyn stał zaś Deep Blue: system komputerowy zamknięty w dwóch czarnych szafach, ważących w sumie 1,4 t, i wyposażony w 32 węzły po 8 procesorów każdy. Tę pamiętną bitwę, która zakończyła się w dniu 11 maja, przegraliśmy... Od jakiegoś czasu analizuję przyczyny porażki ludzkości i jej konsekwencje. Oczywiście ta pamiętna bitwa była walką szachową. Kasparow, z tytułem szachowego arcymistrza, był ówczesnie niepokonanym szachistą, co pozwoliło mu reprezentować ludzkość. Pokonał nawet pierwszą wersję Deep Blue w roku 1996 (w 1997 r. przegrał z ulepszoną wersją, nazywaną również nieoficjalnie Deeper Blue lub Deep Blue II). Deep Blue to system komputerowy opracowany przez firmę IBM, przy wsparciu najlepszych szachistów, którego celem jest jedynie gra w szachy. Komputer IBM mógł przeanalizować 200 mln możliwych ruchów na sekundę, podczas gdy Kasparow... 2. Teoretycznie tak nierówną walkę powinien przegrać człowiek. Maszyna nie męczy się, pracuje szybciej, nie popełnia błędów, a nawet – jak głosiły plakaty promujące walkę Kasparowa z Deep Blue – nie mruga. Człowiek ma jednak coś czego maszyna nie posiada – kreatywność. Maszyna może jedynie realizować program, który został spisany na jej krzemowych procesorach. Kasparow wygrał w 1996 r., bo szybko przejrzał sposób gry komputera i wykorzystywał jego słabości oraz fakt, że maszyna nie może zmienić raz wprowadzonych poleceń. Tak było też podczas pierwszej partii szachowej rok później. Pierwszą z ośmiu partii człowiek wygrał zdecydowanie. Maszyna grała jak debiutant. Kasparow

po pierwszej partii stwierdził, że była to pestka, a maszyna jest po prostu „głupia”, dlatego nigdy nie pokona człowieka, nie wzniesie się do jego poziomu inteligencji. Jednak podczas drugiej partii, następnego dnia, zdarzyło się coś niespodziewanego, co w końcu doprowadziło do całkowitej przegranej rodzaju ludzkiego. W 36. ruchu maszyna wykonała ruch, którego nie powinna była wykonać. Program komputerowy miał zapisane w swoich procesorach różne ułożenia szachowe i miliardy możliwych posunięć, a każdemu ruchowi przypisana była stała wartość punktowa. Jedne ruchy („lepsze”) były wyżej punktowane od innych („gorszych”). Maszyna wybierała więc wyżej punktowane

posunięcia, a to pozwalało Kasparowowi przejrzeć jej sposób gry i zrozumieć, które posunięcia są dla niej cenne. Kasparow, grając czarnymi, dał Deep Blue możliwość przesunięcia swojej królowej w głąb swojego terytorium na pole b6. Oczekiwał właśnie takiego 36. ruchu maszyny, gdyż grała ona w sposób agresywny, korzystając z każdej możliwości przesunięcia gry na pole przeciwnika. Deep Blue jednak, po nieco ponad 4 minutowym „namyśle”,



nie dokonał ruchu królową (hetmanem), który mógłby dać Kasparowowi sporą przewagę w przyszłości, i zbił swoim pionem piona Kasparowa z pozycji b5. Ruch ten zszokował szachowego arcymistrza (na załączonym obrazku widzą Państwo dwa ruchy Deep Blue – oczekiwany ruch królową i rzeczywisty ruch pionem). Kasparow stwierdził potem, że grając w tej partii z komputerem miał wrażenie, że gra z „czymś” przejawiającym inteligencję. Doszedł do wniosku, że to niemożliwe i do końca gry twierdził, iż ktoś musiał dokonać manipulacji. Był przekonany, że jakiś pracownik IBM zablokował maszynie możliwość wykonania złego ruchu królową i dokonał

ruchu pionem. Szachista był tak wstrząśnięty, iż jak twierdził: nie mógł później skupić się na grze, zastanawiając się w kółko nad słynnym już ruchem nr 36.

Drugą partię Kasparow poddał. Ostatecznie, po 6 przepisowych rundach, Kasparow przegrał z komputerem 3½ do 2½. Na wszystkich konferencjach prasowych, po każdej partii, człowiek przekonywał, że mieliśmy do czynienia z oszustwem. Twierdził, że przed 36. ruchem maszyna zastanawiała się prawie 15 minut, sporo dłużej niż przy innych ruchach. W sam raz, aby ktoś zablokował komputer i dokonał ruchu „ręcznie”. W rzeczywistości 36. ruch zajął maszynie około 4 minut, a wcześniejszy ruch nr 35 trwał około 14 minut, więc prawdopodobnie Kasparow pomylił tutaj fakty pod wpływem emocji. Pozbawiona emocji maszyna nie mogła odpowiedzieć. Jej programiści tłumaczyli, że nie zaszło żadne oszustwo, a Kasparow nie docenia przeciwnika, gdyż nie jest to zwykły komputer. Należy również zaznaczyć, że po każdej partii pracownicy IBM wprowadzali zmiany w programie komputera, biorąc pod uwagę grę Kasparowa, ale w trakcie samej gry nikt nie manipulował przy Deep Blue.

Co więc się wydarzyło? Czy 36. ruch drugiej partii szachowego meczu Kasparow vs Deep Blue był przejawem uzyskania przez maszynę świadomości? Czy komputer wykazał się w tym momencie nieprzewidywalną kreatywnością, do tej pory dostępną wyłącznie człowiekowi?

Po latach jeden z programistów Deep Blue przekazał mediom informację, że ich kompu-

ter wygrał... przez przypadek. Podczas pierwszej partii maszyna miała wykonać pewien losowy nielogiczny ruch (nr 44) z powodu błędu w oprogramowaniu. Programiści po skończonej partii mieli naprawić błąd, ale coś przeoczyli. 36. ruch maszyny w kolejnej partii miałby być właśnie wynikiem błędu w programie. Błąd, którego Kasparow nie mógł zrozumieć i który stał się jego obsesją, gdyż nie mógł pojąć jak „krzemowy mózg” mógł wykonać ten dobry ruch, niezgodny z instrukcjami zapisanymi w procesorach.

Ten przypadek pokazał nam jedną bardzo ważną rzecz, odnoszącą się do wyższości ludzi nad maszynami: ludzie są nieprzewidywalni, popełniają błędy, ale są też kreatywni. Programy komputerowe nie są kreatywne i nie popełniają błędów, chyba że takie błędne postępowanie mają wpisane w instrukcję. Realizują one jedynie to, co w ich kodzie zero-jedynkowym zapisze człowiek. Kasparow wygrywał właśnie dlatego, że mógł łatwo zorientować się w trakcie gry, co zapisano w kodzie programu, i wykorzystać słabości metalowego przeciwnika. Komputer mógł wygrać z człowiekiem jedynie przez przypadek, w wyniku błędu. Dopóki maszyny nie staną się nieprzewidywalne, to znaczy dopóki nie damy im możliwości zejścia z wytyczonej ścieżki, a co za tym idzie również popełnienia błędu, nie dorównają nam. Biorąc pod uwagę, że błąd w maszynie, bunt wobec instrukcji jest czymś, czego programiści starają się unikać, wygląda na to, że komputery szybko nam nie zagrażą. Może to dobrze?

Mariusz Sobkowiak (rocznik ,89)

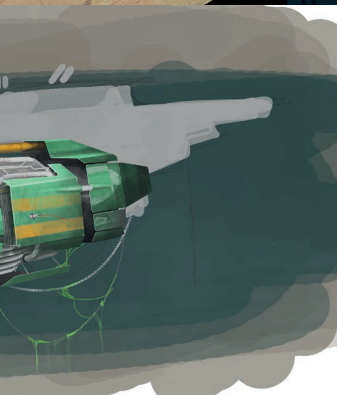
– redaktor naczelny i pomysłodawca „LandsbergONu”, pracownik socjalny, wykładowca, lokalny społecznik, autor publikacji naukowych. Na co dzień pracuje w organizacji pozarządowej jako specjalista ds. rachunkowości. W wolnych chwilach czyta książki. Zakochany w Gorzowie i jego historii.





Autor grafiki: **Mikołaj Leszczyk** urodził się w 1986 r. Wieloletni mieszkaniec Gorzowa, „od zawsze” związany z naszym miastem. Ukończył studia na kierunku politologia na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Rysuje od dawna. Warsztat rozwijał dzięki merytorycznemu wsparciu Maxa Skorwidera w szkole Sowa-Edu w Poznaniu. Miał kilka wystaw w Gorzowie Wlkp. oraz w Poznaniu. Jest jednym z bohaterów filmu dokumentalnego „Gorzów w różowych okularach” (reż. Dominika Muniak). Zainteresowania: koty, architektura, koty, fantastyka, film, komiksy oraz koty.





Krzysztof Ostrzeniewski - urodził się pod Gorzowem w miejscowości Glinik. Obecnie student Politechniki Poznańskiej, ale praktycznie cały okres nauki przeżył w Gorzowie - uczęszczał do IV LO. W mieście nad Wartą również poznał pierwsze tajniki rysowania. Fascynowało go i nadal fascynuje szeroko pojęte science-fiction - filmy, gry, digital art, komiksy. Tematyka sci-fi, czy postapokaliptyczna sprawia mu najwięcej satysfakcji w tworzeniu, bo jak mówi, nie są niczym ograniczone. W 2012 roku jego spot „Gorzów na dwóch kółkach” wygrał w konkursie „Przystań na kulturę” skierowanego do mieszkańców powiatu gorzowskiego na spot reklamujący gorzowską kulturę.



Piotr Merda - Pochodzę z Gorzowa Wlkp. Jestem samoukiem. Wnikliwym obserwatorem. Fotografuję to co ulotne lub niewidoczne. Świat wiecznie zaskakuje. Interesują mnie stare techniki fotograficzne. Nie stronię też od fotografii cyfrowej. Fascynujące są sposoby zapisu obrazu, niepowtarzalność, geometria. Jestem zainteresowany formą fotograficzną, którą traktuję nie jako ostateczny efekt dwuwymiarowego obrazu, lecz jako półprodukt służący do tworzenia fotograficznych obiektów przestrzennych. Należę do grupy fotograficznej „fCzasowicze” z Gorzowa i grupy fotograficznej „MOMENT” z Wrześni.

POCIĄG GROZY

– Obym tylko zdążył – pomyślałem, przekraczając próg dworca. Megafon w poczekalni trzeszczał już zapowiedzią mojego pociągu. Bezzwłocznie ustawiłem się na końcu długiej kolejki i, postępując z wolna w stronę okienka, nerwowo spoglądałem co kilka chwil to na wiszącą ponad głowami tarczę stacyjnego zegara, to na nieco przydługi napis „Gorzów Wielkopolski Wschodni”, ledwo mieszczący się na tabliczce. W końcu z biletem w rękę zbiegłem pośpiesznie po schodach na peron. Tutaj, wciskając się między gwarny i ożywiony tłum pasażerów, z trudem przepchałem się do drzwi swojego wagonu. Miałem szczęście, dyżurny ruchu dawał właśnie maszyniście znak do odjazdu. Wszedłem do przedziału przeładowanego ludźmi i, po pokonaniu zamasztytym krokiem sterty tobołów i pakunków, usiadłem przy oknie, zajmując ostatnie wolne miejsce. Pociąg potoczył się ze świstem, wlokąc za sobą kłęby czarnego dymu, które całkowicie zasłoniły opuszczaną przystań.

Z początku stary parowóz jechał powoli. Dopiero po około kwadransie, gdy wyjechaliśmy poza miejską zabudowę, zaczął stopniowo nabierać szybkości i, rozpędziwszy się na dobre, wpadł w jednostajną melodię kół.

Jak na koniec września było tego dnia bardzo gorąco i, mimo otwartego okna, w przedziale panował nieznośny zaduch. Naturalnie warunki te sprowokowały moich współpasażerów do dyskusji na temat pogody. Ta, w równym stopniu zażarta co jałowa wymiana myśli, w połączeniu z wiszącą w powietrzu ciężką duchotą, przyprawiły mnie w krótkim czasie o ból głowy. Mając dość tego przykrego otoczenia, postanowiłem wyjść na korytarz i trochę odsapnąć. Nie długo jednak dane mi było cieszyć się spokojem. Po kilku chwilach usłyszałem bowiem rzucone do wnętrza wagonu hasło: – Bilety do kontroli! – które, przy wtórze otwieranych drzwi, powtarzało się wielokrotnie z niesłabnącą donośnością. Wypełnianiu kolejowych formalności

towarzyszył również gromki śmiech samego konduktora, który najwyraźniej był osobnikiem gadatliwym i skłonny do żartów. Po sprawdzeniu uprawnień przejazdowych pozostałych pasażerów, ten wysoki i krzepki mężczyzna podszedł również do mnie na koniec taboru i z nieskrywanym zadowoleniem oświadczył:

– A więc został mi tylko pan.

Wówczas dopiero mogłem przyjrzeć się jego twarzy. Z miejsca odniosłem wrażenie, że w jej sympatycznym z pozoru wyrazie kryje się coś niepokojącego. Nawet bujne, rdzawe wąsy, podkreślone zawadiacko do góry, które innym osobom nadałyby zapewne rysu rubasznosci, w moim odczuciu czyniły oblicze konduktora osobliwie złowieszczym. Gdy ja spoglądałem na niego z rosnącą docieklivością, on bezwiednie obejrzał i przedziurawił mój bilet, po czym, odcchnąwszy z ulgą, oparł się o ścianę, jakby chciał dać znak, że jego praca dobiegła właśnie końca. W tej samej chwili wyjął z kieszeni munduru paczkę papierosów i podsunął mi ją pod nos.

– Pan się poczęstuje.

– Dziękuję, nie pałę – oznajmiłem.

– Widzi pan szanowny, a ja pałę. I to jak lokomotywa, he, he! – zarechotał uradowany swoim dowcipem, odpalając jedną sztukę. Zaciągnął się głęboko i po wypuszczeniu z ust kilku kłębow siwego dymu spytał:

– A czemu pan tutaj tak stoi samemu?

– Chciałem chwilę odpocząć od tłoku.

– Wie pan, jesteśmy w pociągu, tu musi być „tłok”, he, he!

Bardzo mnie irytował tym wyciem. Nie chciałem dawać powodu do następnych głupich kawałów, powiedziałem pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy:

– Podziwiam krajobrazy.

– He, he. I słusznie! Okolica jest naprawdę niczego sobie. Pan pierwszy raz tą trasą?

– Tak. Często podróżuję pociągami, ale tędy jeszcze nie jechałem.

– To czeka pana niespodzianka, he, he. Po drodze minie kilka miasteczek z zabawnymi nazwami. Za chwilę będzie Jęczydół, po nim Lenie Wielkie, a parę stacyjek dalej, pan nie uwierz, Niemyje-Ząbki, he, he, he!

– To ci dopiero – odparłem, lekko wyginając kąciaki ust do góry.

– Ale tak w ogóle to lubi pan podróże, co nie? – pytał dalej, a uśmiech nie schodził mu z twarzy, jakby doznał ciężowego porażenia nerwów mimicznych.

– Coż, można powiedzieć, że czuję do nich „pociąg” – rzuciłem, sam nie do końca pewny dlaczego, lecz najwyraźniej udzieliło mi się denne poczucie humoru funkcjonariusza.

– Oho, widzę, że zna się pan na kalamburach, he, he! – odparł – To tak jak ja! A zatem – w tym miejscu zrobił pauzę, jakby miał za chwilę wygłosić najlepszy żart stulecia – teraz moja „kolej”! Popatrzyłem na niego z wymuszonym uśmiechem, który widocznie nie dość dobrze zamaskował moje zażenowanie, gdyż konduktor, wyraźnie skołowany, spytał:

– Nie rozbawiło to pana?

– Nie, skądże. To było doprawdy komiczne.

– Ale się pan nie zaśmiał.

– Ależ owszem, jestem głęboko rozweselony tym dowcipem. Kolej jako „pociąg” i kolej jako „następstwo według ustalonego porządku”?

Winszuję panu tak zgrabnej dwuznaczności! Konduktor spojrział na mnie z ponurym niedowierzaniem. Wyraz jego twarzy, do tej pory tak radosny i życzliwy, zmienił się całkowicie. Spod zmarszczonego w złości czoła bił teraz piorunujący wzrok. Dotarło do mnie, że swoją kąśliwą uwagą uderzyłem w jakąś czułą strunę. Już śpieszyłem z przeprosinami, gdy ten przerwał mi znacząco gestem.

– Jeszcze panu pokażę, co znaczą żarty – oświadczył kategorycznie, cedząc każde słowo przez zacienięte szczęki – do widzenia – Po tych słowach odwrócił się ode mnie i pewnym krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Przez chwilę stałem jak zamroczony, nie wiedząc, co robić. Przekląłem w myślach swoje aroganckie zachowanie: – „Ty prostaku, dlaczego wyżywasz się na Bogu ducha winnym kolejarzu. Przecież był dla ciebie uprzejmy”. To zapewne wina zmęczenia i nerwów przed podróżą. Stwierdziłem, że tak tego nie zostawię i gdy następnym razem mężczyzna będzie przechadzał się po wagonach, przeproszę go za brak manier. Nie chcę, by chował urazę. Poza tym, co przyznałem przed sobą ze wstydem, poczułem wobec niego lekki strach. Jego ostatnie słowa zabrzmiały wszak jak groźba. Nie chciałem już dłużej być sam, więc wróciłem do przedziału.

Parność wewnątrz niestety nie ustąpiła. Led-

wie usiadłem, a na powrót ogarnęło mnie silne zmęczenie. Wtuliłem się w kąć między ścianą wozu a poduszką oparcia i patrzyłem na świat za oknem. Po chwili, ukołysany miarowym ruchem wagonu, przechyliłem znużoną głowę na ramię i zasnąłem.

Mój sen był bardzo niespokojny. W beładnych wizjach ujrzałem olbrzymią lokomotywę, całą w parze, iskrach i szumie. Ciężka maszyna, na czele niekończącego się składu, sunęła czarnym traktem przez jakąś pustą równinę. Nagle znalazłem się w samym środku przekłętego pociągu. Wtedy też usłyszałem przeraźliwy, opętańczy rechot. Od razu rozpoznałem w nim głos konduktora. Po chwili, pełen przerażenia, dostrzegłem jego postać w głębi korytarza, jak podchodzi do mnie, trzymając w ręku jakiś ciężki przedmiot. „Jeszcze panu pokażę, co znaczą żarty” – szepnęła, wylaniając z mroku swoje oblicze. Ujrzałem bladą, niby ściętą mrozem śmierci twarz, wykrzywioną w sarkastycznym uśmiechu. Upiór zbliżał się, wlepiając we mnie parę pustych oczodołów. Nagle rozległo się ogłuszające zgrzytanie żelaza...

Z koszmaru wybudziło mnie gwałtowne szarpnięcie. Poczułem, że koła wozów obracają się coraz wolniej. W końcu ucichło sapanie lokomotywy i loskot uderzających o siebie buforów. Pociąg znieruchomiał. Podniosłem ciężkie powieki i wyjrzałem przez okno, lecz z powodu wiszącej nad torowiskiem gęstej mgły, nie mogłem dostrzec budynku dworca ani tym bardziej tablicy z nazwą miejscowości. Odwróciłem się, chcąc spytać innych pasażerów, czy wiedzą coś o naszym położeniu i wtem odkryłem, że oprócz mnie w przedziale nie ma żywej duszy. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Raz jeszcze utkwilem wzrok w szybie wagonu, lecz widok za nią nie uległ najmniejszej poprawie. W szarości zmierzchu nie umiałem dopatrzeć się podróźnych, obsługi ani innych pojazdów. Zamiast słyszanych zwykle na stacjach komunikatów i rozmów, panowała przygnębiająca cisza. Nie umiałem nawet stwierdzić, czy okolica, w której się znajduję, jest w istocie dworcem, czy też może zupełnym odludziem. Wydawało mi się, że stoję pośrodku bezdennej pustki. Z zadumy wyträcił mnie przemykający po drzwiach cień.

– To zapewne człowiek – pomyślałem, dostrzegając okazję do zapytania o przyczynę naszego postoju. Wybiegłem na korytarz. Ktoś istotnie przechadzał się po pociągu, zauważyłem bowiem oddalającą się powoli sylwetkę mężczyzny.

– Przepraszam – zagailem nieśmiało – czy wie pan może, gdzie jesteśmy?

Tajemniczy jegomość zatrzymał się w pół kroku.

– Tak, wiem – rzekł, odwracając z wolna głowę w moją stronę. Zadrzałem ze strachu, gdy

odkryłem, że naprzeciw mnie stał nie kto inny jak urażony konduktor. Prawdziwa groza miała mnie jednak ogarnąć dopiero w chwili, gdy ten, wpatrując się w moje oczy z miną szaleńca, dodał ochryple:

– Jesteśmy w szczerym polu...

Wtem, zanosząc się obłąkańczym śmiechem, ruszył żywo w moim kierunku.

Bez chwili zastanowienia rzuciłem się biegiem w głąb korytarza. Na końcu wagonu szarpnąłem za klamkę, by rozsunąć drzwi. Pech chciał, że zbiegając po schodach, potknąłem się na pierwszym stopniu i jak długi runąłem między przydrożne zarośla. Nie zatrzymywałem się jednak i, na obolałych od upadku nogach, gnałem przed siebie w zupełnej ciemności. Po oddaleniu się o kilka kroków, wiedziony ciekawością, obróciłem głowę i zdało mi się, że w jasnych oknach pociągu dostrzegam znajome twarze współpasażerów, którzy teraz siedzieli rozlokowani po różnych przedziałach. Mimo zdumienia, jakie wzbudził we mnie ten widok, wciąż pędziłem co tchu niczym ścigany przez samego diabła, zaplądając się w chaszczce i zapadając po kostki w grząskim błocie. Byłem bliski rozpacz. Nie wiedziałem, czy ten psychopatyczny konduktor mnie goni, lecz nawet jeśli zarzucił pościg, wciąż nie miałem pojęcia, jak długo przyjdzie mi iść, nim napotkam gotowych mi pomóc ludzi.

Zacząłem już tracić wszelką nadzieję, gdy nagle coś zamajaczyło na linii widnokregu. Podszedłem w stronę tajemniczego blasku i z ulgą odkryłem, że mogą to być kontury zabudowań

stacyjnych.

– A więc jednak dworzec! – zakrzyknąłem radośnie.

Przystan była oddalona o spory kawałek, jednak doznane powodzenie sprawiło, że odzyskałem siły i na miejsce przybyłem w przeciągu kilku chwil. Zostałem jednak bardzo niepokojącą sceną. Źródłem światła okazała się być samotna lampa, wisząca na ścianie niewielkiego, zaniedbanego budynku. Nie było tu w zasadzie nic, oprócz tej opuszczonej rudery i nie używanej zapewne od lat bocznicy, tak daleko odbiegającej od głównej linii, że ta niemal całkowicie niknęła w szarej mgłę. Opleciony bluszczem budynek stał jak trup, patrząc pustymi, zakrytymi bielmem kurzu oknami. Przyćmiiony blask, bijący spod blaszanego klosza, pozwolił mi jednak dojrzeć tablicę przykręconą do jednej z jego wyszczerbionych ścian. Miałem się zatem właśnie dowiedzieć, w jakie miejsce sprowadził mnie ten szalony kolejarz. Niestety, nadal panowały ciemności, a światło rzucane przez mleczną żarówkę lampy nie wystarczało do łatwego odczytania poczerniałej od spalin tablicy. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wyteńczyć swój wzrok z całych sił i spróbować odczytać nazwę zagadkowej miejscowości litera po literze. Gdy skończyłem tę żmudną pracę, a stara płyta odkryła przede mną swój sekret, przeszło mnie makabryczne poczucie rezygnacji. Mieścina, w której się znalazłem nazywała się bowiem: Szczerympol.

– Skurczybyk... – pomyślałem, słysząc w oddali stukot odjeżdżającego pociągu, a wraz z nim znany mi drwiący śmiech.



Karol „Trapi” Wojdyło

– Rdzenny Gorzowianin. Z wykształcenia logopeda, jest to też jego (największy) zawód. Wielki miłośnik osobliwości języka ojczystego, zabawy konwencjami i groteskowego humoru. W wolnych chwilach pisuje wiersze, piosenki i krótkie opowiadania. Wszyscy powtarzali mu, że niczego nie osiągnie, tymczasem jego tekst ukazał się w LandsbergOnie. (I kto się teraz śmieje?) Współtworzy literacki zin pt. „Ćwierćinteligent”, na łamach którego publikuje swoje utwory. Część jego twórczości dostępna jest również pod adresem: [facebook.com/Ćwierćinteligent-1694146130888607](https://www.facebook.com/Ćwierćinteligent-1694146130888607)

DWA KSIĘŻYCE

Choć nikt mi nie uwierzy, coś na niebie widziałam. Mam teraz nad czym rozmyślać. To moje ulubione zajęcie – gimnastyka mózgu. Chciałabym Państwa zaprosić do takiej gimnastyki podczas lektury. Nie trzeba ruszać się z miejsca. Co najwyżej wpatrywać się w zapaloną świecę, by myśli nie uciekały w ciszy, w której zamykamy się jak w kokonie.

Zakładam, że UFO istnieje, a to, co widziałam, mogło być testami nowoczesnego sprzętu. Według hipotezy UFO, istoty które skonstruowały takie pojazdy, którymi przemierzają galaktyki, czy podróżują po wymiarach czasoprzestrzeni, muszą być w posiadaniu technologii bardziej rozwiniętej, niż nasza obecnie. I to jest jasne. Ich technologia pozwala więc sztucznie związać czasoprzestrzeń, podobnie jak się to ma w przypadku czarnych dziur, tyle, że bez tych wszystkich efektów grawitacyjnych, które rozrywają wszystko na strzępy z atomami włącznie. ONI

posiedli umiejętność kontroli tego zjawiska. Może mają generator, który potrafi wytworzyć wokół ich statków odpowiednie pole w postaci bańki: taki mały prywatny Wszechświat, w którym się przemieszczają? Może pozwala IM to przechodzić z normalnej czasoprzestrzeni do prywatnego wszechświata, a później wyjść z niego w zupełnie innym punkcie?

Oni mogą pochodzić z innych galaktyk, jak i z innych wymiarów, które są tuż obok nas, lecz których nie dostrzegamy, bo istnieją na innym poziomie wibracji. Mogą pochodzić z naszej przeszłości lub przyszłości, ponieważ, jak mówią kwantowi fizycy: przeszłość, teraz i przyszłość są nierozłączne. Nasze zrozumienie upływu czasu jest przejawem naszej świadomości. To nasza świadomość jest tym, co przemieszcza się liniowo. Przeszłość i przyszłość istnieją jednocześnie. Jeśli ktoś potrafi związać czasoprzestrzeń, to może podróżować

zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Czas nie jest zjawiskiem o charakterze liniowym. On tak naprawdę nie istnieje. Jest tylko umownym pojęciem służącym nam do opisu atrybutu czasoprzestrzeni, jest właściwością naszej świadomości. Ja tego nie wymyśliłam. O tym pisał i mówił już Einstein. Nasza fizyka opiera się na mechanice kwantowej, a ich na równoległych wszechświatach. To tak, jak by pokazać kamerę w czasach Pitagorasa. Pitagoras nie wiedziałby, na co patrzy. To jest właśnie przepaść, która nas dzieli.

Osobiście uważam, że nie da rady wykorzystać tej technologii bez ich wiedzy. Sami, jako ludzka rasa, musimy do tej wiedzy dojść. To, co widziałam na niebie, goszcząc w Bawarii, może być

naszą technologią, o której zwykli śmiertelnicy nie mają pojęcia i testowaną w miejscach, gdzie nie ma ludzi. Ale stało się: Byłam tam ja. Około godziny jedenastej wieczorem zauważyłam dwa księżyce w pełni, podobne do siebie. Zafascynowałam się. Nagle jeden z księżyców zamigotał innym blaskiem. Cały stał się migocącym światłem, po czym znikł. Trwało to kilkanaście sekund. O zjawisku tym wspomniałam na drugi dzień. Potwierdzono, że dosyć często obserwuje się w tym rejonie UFO, ale dwa księżyce? Do dziś nie daje mi to spokoju. W zasadzie nie umiem się odnieść do tego zjawiska, które było moim udziałem. Na pewno nie były to żadne odbicia światła reflektorów. Dwa słońca już były, ale dwa księżyce, w tym jeden znikający w ułamku sekundy?

Lucja Fice

– W Gorzowie mieszka od 14. roku życia, kiedy to rozpoczęła naukę w Technikum Chemicznym. Obecnie jest na emeryturze i poświęca czas swoim zamiłowanym: pogłębianiu wiedzy i pisaniu. Z gorzowskim środowiskiem literackim związana jest od 1995 roku, a więc odkąd zapisała się do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury Gorzów. Od 2012 roku jest członkiem ZLP. W 2016 r. została odznaczona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem za zasługi dla Kultury Polskiej. Wydała kilka tomików poetyckich i trylogię powieści emigracyjnych.



John obudził się po szesnastogodzinnej sesji elektroneuronicznej, jaką zafundował sobie z powodu przemęczenia pracą. Na podłodze leżał naładowany elektronowy inhalator gli-kolu rozweselającego. Była godzina 5:55.00295 czasu strefowego X-51. Przez na wpół otwarte okno słychać było jeżdżące wozy policyjne i wojskowe, patrolujące miasto. Godzinę antyterrorystyczną wprowadzono już dwanaście lat wcześniej, po utworzeniu Unitarnej Republiki Cyborgicznej, zarządzanej przez system Faust. Nagle rozległ się odgłos VMS-a. Na ekranie na-przeciw łóżka pojawił się optogramiczny obraz opiekuna domu. Z głośników odezwał się znany Johnowi głos:

– Dzień dobry, czas wstawać, jest 6:00.00000 czasu strefowego X-51.

– Proszę przyłożyć rękę do czytnika w celu zeskanowania linii izotermalnych.

– Dziękuję.

– Proszę założyć Fototronik.

– Dziękuję. Ciśnienie oraz stężenie glukozy w normie. Lekki niedobór wapnia i selenu.

John zabrał się za śniadanie. Czekał go ciężki dzień. Został jednym z oskarżonych o planowanie zamachu bombowego za jedenaście mie-

siący. Od dawna nosił już obrożę elektroniczną, którą otrzymał zaraz po skierowaniu do pracy w wytwórni kopolimerów FSAB w Landsbergu, po studiach na Wydziale Chemii dziesięć lat wcześniej, toteż nikt nie musiał go aresztować. Jednak, jak każdy obywatel, wiedział, że istnieje zasada domniemania winy, a po ukaraniu czekała na niego, tak zwana, klauzula CutOff, po której znikają: cyfrowe ślady jego istnienia, historia życia, dokumenty, dyplomy, adres, prawo do lokalu czy świadczeń medycznych.

Zaczął nerwowo konsumować posiłek. Kupione wczoraj kotlety syntetyczne nie nadawały się już do spożycia, ale udało się znaleźć żel stymulująco-energetyczny.

Strefa Anihilacji Omikron od dawna cieszyła się złą sławą. Przez lata trafiali tutaj więźniowie przymusowi, więźniowie polityczni, przedstawiciele ruchu oporu walczącego z Unitarną Republiką Cyborgiczną. To tutaj podejmowano decyzje, czy zostanie im nadany laserogram i zostaną oni skierowani do obozów, lub do technoklinik, w celu wykorzystania ich ciał do badań nad nowymi możliwościami chemobioniki czy plazmoortopedyki. W ponurych pozostałościach dawnych budynków z neodytu i ario-

zону, pamiętających serię wojen nuklearnych, zamykano ludzi w celach, w których traktowano ich najbardziej wymyślnymi torturami. Najstraszniejsze było założenie hełmu emitującego drgania fal dzeta, skutkujące rezonansem głowy, po którym człowiek wpadał w obłąd, a następnie tracił orientację w przestrzeni. Stosowano też demnemonikę i wyzerowanie pamięci, robiąc – z pełnych wigoru dwudziestolatków – otepianych starców, nie mogących rozpoznać samych siebie w lustrze.

Strefa posiadała swoje podfilie, na jednej z których, na stacji orbitalnej Nimea niedaleko jednej z planetoid, dożywali swych dni więźniowie pracujący w ośrodkach wydobywczych. Było to dla nich zesłanie w jedną stronę. Podróż na planetę potrafiła postarzyć człowieka o niemal 30 lat, zaś wycieńczenie pracą, anomaliami temperaturowymi i panującą atmosferą, nie pozwalało przeżyć tamże nawet roku.

Po Johna przyjechała delegacja. Dwa androidy systemu A-700 plus prototyp A-750. W oddali słychać było wybuchy po ataku bombowym. Android odrzekł:

– Pańscy towarzysze z organizacji zostali w momencie wybuchu skazani na kopalnię karną. Proszę przygotować się na to samo. Na razie pojedzie pan z nami.

Drugi android dodał:

– Proszę oddać wideosoczewki. Wszystko, o czym pan pomyśli, zostanie użyte przeciw panu. Jest już 10:59:50000 i pół sekundy do rozpoczęcia planogramu.

Minęła niecała godzina, a John był już aresztantem, oczekującym na odjazd w (nie)znane. Trafił

– wraz z innymi nieszczęśnikami, wśród których znajdowali się między innymi: byli programi-

ści, specjaliści algebry abstrakcyjnej, fotonicy i bionicy – do termopojazdu III klasy. Po wejściu wszystkich więźniów na powierzchnię pojazdu, uruchomił się czujnik nanogeneratora tryboelektrycznego, a następnie, zasilony napięciem uzyskanym, dzięki ośmiuset kiloniutonom siły, tabloidoskop wskazał przewidywaną trasę i czas podróży. LNDB-1E1, były Gorzów, do EXZN-00F. Nikt nie kojarzył tego ostatniego oznaczenia. Na końcu okazało się, że to kosmodrom w pobliżu terenu byłej elektrowni w Żarnowcu. Po chwili włączył się klimatyzator i więźniowie zaczęli „oddychać” chłodziwem HFO-1234yfgz, na głowy nasunęły się hełmy, a z działa akustycznego poleciała „audycja” psychogramiczna, powodująca, tak zwany, brainwash. Po takim zabiegu nikt nie miał już siły choćby pomyśleć o jakiegokolwiek formie buntu. Wszyscy byli potulni, niczym niegdysiejszy rekrut po pierwszym wrzasku kaprała.

Co jakiś czas dostarczano skazańcom GMO-pieczewo oraz białko w pastylkach. W końcu nastąpił przyjazd do stacji końcowej. Pojawiły się androidy i wszyscy zostali zaprowadzeni tunelem na pokład kosmolotu. Po tygodniu dolecieli na miejsce do międzyplanetoidalnej kolonii karnej. Jednocześnie wylądował też statek z Ziemi-Theta, z kolejną dostawą niewolników. Zaprowadzono wszystkich do kopalni samaru-03. W końcu jeden ze skazańców odważył się zapytać jednego z towarzyszy niedoli.

– Ile pan tu już przebywa?

– Niedługo wracam. Jeszcze tylko 3 dni. A pan ile dostał?

– 365.

– Kosmos. Wie pan, że tu liczą według dni nenusjańskich?

Tomek Grabowski

– Związany z Gorzowem „od zawsze”. Wielbiciel przeszłości i przyszłości, jakkolwiek to brzmi w czasie „teraźniejszym”. Fan złotej dekady lat 80-tych, dziwnych i dziwacznych wynalazków.

PRALNIA GRZECHÓW



skromnej kawalerce, którą opłacał jej alfons – ale zarabiała tylko w trakcie „gościnnych występów” w Szczecinie, Poznaniu i w Zielonej Górze.

Maciejko był dwumetrowym mięśniakiem z wytatuowaną łąką pod okiem. Większość młodości spędził w poprawczakach i w więzieniu, a teraz – po odsiedzeniu wieloletniego wyroku – próbował na nowo zacząć życie na łonie społeczeństwa. W drugi, piątkowy wieczór czerwca, gdy na Błoniach Nadwarciańskich

W piątkowy wieczór przed Pralnią Grzechów ustawiały się długie kolejki. Miejsce to nie było znane wszystkim śmiertelnikom, ale gorzowianie, którzy balansowali na granicy dobra i zła, doskonale wiedzieli, jak tu trafić. Nie wiadomo do końca czy przypadek, czy też świadome działanie jej właścicieli, sprawiło, że miejsce to znajdowało się kilkadziesiąt metrów za gorzowskim cmentarzem komunalnym przy ulicy Żwirowej. Lokalizacja ta działała na wyobraźnię wielu mieszkańców wychowanych w wierze katolickiej, jadących ze swoimi brudami w kierunku Chwałęcic. Te nic nieznaczące, plugawe i czyniące zło ludzkie maszyny wierzyły, że Pralnia uchroni je przed odpowiedzialnością za swoje grzechy i pozwoli w spokoju spocząć wśród ludzi, którzy pozostawili po sobie ciepłe wspomnienia, dobre uczynki i miłość.

Kinky była prostytutką, która wykorzystywała każdą okazję, by odurzyć i okraść swoich klientów. Mieszkała przy ulicy Chrobrego – w

trwały Dni Gorzowa, Kinky i Maciejko spotkali się w Pralni Grzechów po raz pierwszy i – jak się później okazało – ostatni. Smukła i opalona dziwka, jak zwykle, zgrabnie prała swoje grzechy w jednej z przygotowanych maszyn, jednak łysy „koks” wyraźnie sobie z tym nie radził. Bagaż jego doświadczeń i występków okazał się zbyt ciężki dla sprzętu w Pralni Grzechów. Rozwścieczony mięśniak, w akcie frustracji, złapał dziewczynę za włosy i roztrzaskał jej twarz o posadzkę. Podobno policjanci z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gorzowie nigdy nie spotkali się z tak bestialską zbrodnią. Jej tożsamość została rozpoznana po tatuażach: „tribalach” i charakterystycznych pieprzykach na ciele. Maciejko został skazany na dożywocie, a Pralnię Grzechów zamknięto wkrótce po tym zdarzeniu. Pozostał po niej tylko wysłużony szyld, który do dziś mówi gorzowskim łotrom, że raz popełniony grzech wróci do nich ze zdwojoną siłą...

CC Allin

– typowy „locals”. Wychował się w Gorzowie i postanowił związać z tym miastem również swoje dorosłe życie, akceptując wszystkie wady tego miejsca. Pisz nieomal od zawsze, ale dopiero od niedawna dzieli się swoją twórczością ze światem. W swoich opowiadaniach zgłębia tematykę uzależnień, patologii czy samotności. Nazywa to brudną grafomanią/rynsztokową prozą. Publikuje ją na fanpage’u: www.facebook.com/ccallinfw





Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!
www.ostatniatawerna.pl

Projekt jest dofinansowany przez miasto Górz Wielkopolski.

GORZÓW

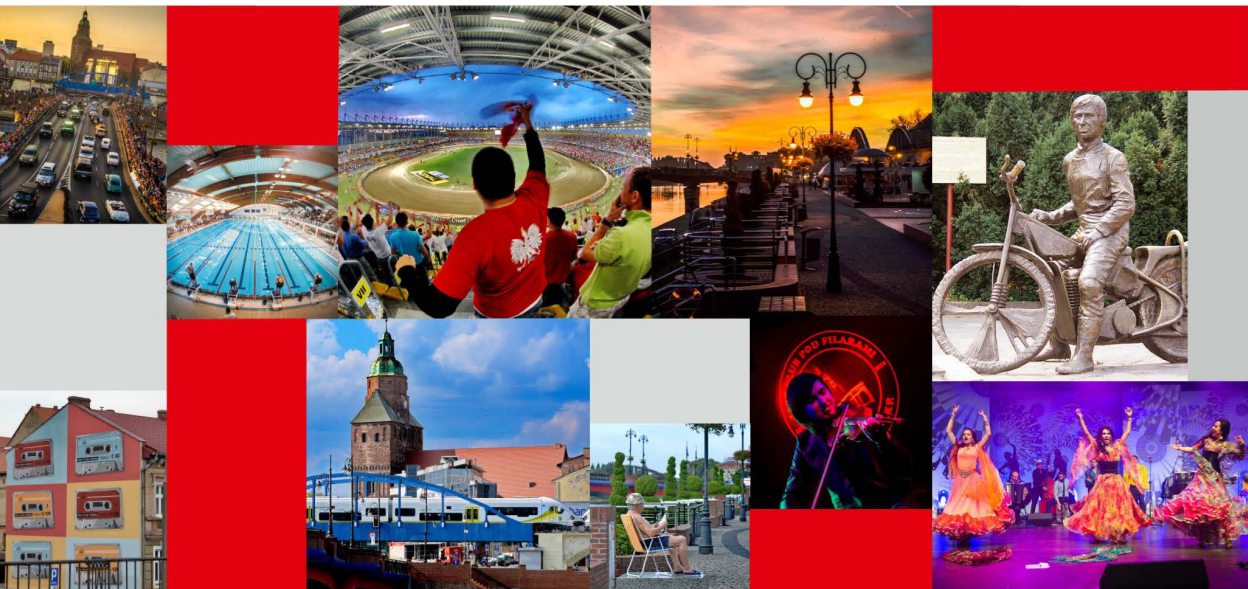
#StądJestem

 przystan

www.gorzow.pl

 wwwGORZOWpl

 [gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja:
Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych
NOVUM

e-mail:
landsbergon@gmail.com

adres strony:
www.landsbergon.pl

telefon:
669-847-078

Redaktor naczelny:
Mariusz Sobkowiak

Zastępca red. naczelnego:
Kamil Kwiatkowski

Redaktorzy merytoryczni:
Piotr Jakubowski

**Sekretarz redakcji (autorka logotypu
LandsbergON):** Aleksandra Jaworek

Korekta:
Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk
oraz Karol Wojdyło

Grafika na okładce:
Piotr Merda